

# POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 10 MAJA 1930 ROKU

NR. 19

ANDRZEJ STRUG

13)

## ŻÓŁTY KRZYŻ

Łódź, pogrążona na jedenaście metrów, zbliżała się ostrożnie do przeciwnika. Stop! Bliżej ani kroku, bo własne miny... Soczewki i zwierciadła periskopu dawały maleńki obraz trawlera, zamacony i zniekształcony przez bryzgające fale. Komendant obrócił łódź prawą burzą do trawlera i urwanemi słowami rzucał w tubę rozkazy do komory torpedowej. Mierzył długo, w skupieniu, bez żadnej innej myśli w głowie, jak jeno tej, żeby nie uchybić o włos w wyliczeniu. Trawler stał w miejscu i dymił mocno, śnać siedział właśnie na minie i ciągnął siecią, by ją zerwać. Podoficer celowniczy stał pochylony obok komendanta, nie odrywając od niego oczu.

— Popatrzcie-no, Stuhr, zdaje się, tak będzie dobrze.

Podoficer ciekawie przywarł do okularów.

— Stoi dobrze... postoi jeszcze. Obie lewe liny mu trzasły, widać zaczepił o coś na dnie.

— Tu niema więcej, jak dwadzieścia siedem metrów?

— Przy odpływie do trzydziestu, panie komendancie. Tu może leżeć lejtenant Reimarus, U. C. 16 — niema miesiąca, jak tu został. O to właśnie bardzo łatwo mogli zawadzić, bo zresztą dno tu gładkie, piasek. Jabym ujął, panie komendancie — na pięć kresek?

— Podajcie!

— Słuchać! Pięć kresek mniej, słyszane?

— Jest — pięć kresek mniej! — odpowiedziała tuba.

— Dosyć, Stuhr. Teraz wal!

— Słuchać! Ognia!

— Jest!

Torpeda odeszła, statek drgnął i stęknął głucho.

— Proszę, panie komendancie — idzie doskonale... Za nic nie może minąć...

— Patrzcie sami, Stuhr, ja nie będę.

Podoficer spojrział zdumiony i natychmiast chwile przywarł do periskopu. Biała smuga perlanych bąbli powietrznych szła, przecinając wały fal linią idealnie prostą. Podoficer śledził ją z zapartym oddechem, póki mu nie znikła w zamęcie fal zwałonego morza.

— Stoi, stoi w miejscu! Ludzie się kręcą na tyłu, zapuszczają haki, usiłują wyciągnąć sieć... Nie zdają...

Baron nie był ciekawy strzału. Zadumał się ponuro. Wspomnienie o koledze Reimarusie zgnębiło go. To, że on tu leży tak niedaleko na dnie z całą załogą w stalowej trumnie, ubodło go dreszczem prze-

rażenia. Ta śmierć wydała mu się dziwnie nową, jak gdyby nigdy ani razu jeszcze o tem nie pomyślał. Zaskoczyła go jakimś przenikliwym, zgrozą przejmującym realizmem prawdy.

Rzecz dawno wiadoma i pospolita odstłoniła się nagle do samej głębi i stanęła mu do oczu w straszliwej bliskości. Domniemanie, przypuszczenie stało się pewnością — prawdopodobieństwo już było prawdą. Od trzech lat wyruszał na morze z szansą trzydziestu pięciu na sto — tak wykazywała lista strat, i przez trzy lata trwała gra. Teraz wiedział, że przegrał. Stało się, już go wita kolega Reimarus.

Nie czuł strachu. Strach zjawia się w walce, w działaniu, strach jest rozpaczliwym odruchem woli ku utrzymaniu szansy w grze o śmierć i życie; dla niego skończyła się gra, odchodzi z liczby tych, co jeszcze rzucają kości. Ogarniał go martwy spokój, już niezrozumiały i bezcelowy. Drętwiał. Niczem się stały i napięcie tego momentu, i powaga spraw i rzeczy, i mus, i honor obowiązku. Nie warto było myśleć. O czym?

Ogarnęła go nicość nakształt cichego usypiania, ale rozpędzony mechanizm myślenia szedł dalej, już po za nim, nie kierowany, zbaczał i kołował. Myśli, obrazy rozszczepiały się wśród nieogarnionej mnogości skojarzeń, zawadzały o siebie, potracając o rzeczy ważne i błahe, budząc bagatelne wspomnienia, odkrywając jakieś niepotrzebne prawdy, pędząc w dal poprzez tuman naleciałości i strzępów. Myśli traciły wszelki sens, wikłyły się ze sobą, przerastały się nawzajem i szły równocześnie, jak obłąkany chór mnóstwa głosów, skłębionych w jedną wrzawę. Na mgnienie oka roztwierał się przestwór zimnej jasności i jedna jedyna myśl wpadała weń, lecąc górną, szybko, wznosiła się zawrotnie i stawała, wisząc u zenitu poznania — wiedziała wszystko i gasła. Jej pamięć wnet zatapiał wicher, miotający pyłem myślenia po opustoszałej głowie. Ktoś mówił szybko, szybko, sypiąc niezrozumiałe słowa... Mrowie czarnych liter przebiegało przed oczami, miarowo, jedna za drugą odwracały się karty jakiejś książki...

— Minuta piętnaście... Siedzi jeden na maszcie i patrzy ku nam przez lornetę. Choćby dostrzegł ślad, to już w ostatniej chwili, a za czem ruszy... Przy tylnem dziale obsługa w pogotowiu... U Anglików porządek, jak się patrzy, stoją, ani drgną... Ha, ha...

Nie, nie! Tego nie dopuści za nic. Opędzał się i nurzał się w odmęcie głupstw, zamulał sobie głowę... Coraz wolniej kręciło się koło jakiejś maszyny, już nie migotało szprychami, przesuwały się wi-

doczne oku, ustawały, jeszcze jeden obrót — koło utknęło — usnął...

Objęły go w swą władzę jej słodkie, głębokie oczy. Z przepaści spojrzenia wynurzyły się wraz splecione w jedno — i ogromna powaga tej chwili, i uśmiech cesarza miłosnego, i łkanie ostatniego pożegnania, i groza śmierci, i niezłomna dzielność prawej Niemki, żony żołnierza. Taką została mu w oczach na całą wieczność od chwili, gdy wagon ruszył ze stacji Ludwigshafen, żeby go od niej zabrać i cisnąć — hen na morze. Jak z innego świata, sięgała do niego ta zjawą, teraz już niepojęta, niepodobna do prawdy. Czy istniała kiedykolwiek? W jakiej przestrzeni? W ojczyźnie niemieckiej? W których czasach? Przed trzema tygodniami?

Tego nie mógł już zrozumieć. Ona i całe życie odeszły od niego, a on sam, unoszony przez niewymierzony, zaświatowy pęd, gdzie był o tej porze? Napróżno usiłował przeniknąć tajemnicę sensu zamroczenia. Uwikłał się w obłęd majaków i poddał się.

— Minuta, czterdzieści pięć! Jeden na górnym pokładzie zapala fajkę, to chyba sam komendant. Dobrze, „captain“, pociągnij sobie jeszcze parę razy, bo to twoja ostatnia fajka...

Lejtenant baron von Tebben-Gerth ocknął się. Strząchnął ze siebie resztkę koszmaru, rozejrzał się wokoło. Miał wrażenie, że spał kilka godzin, był zdrętwiały ale wypoczęty, pełen sił, tylko głowa ciążyła mu, jak po mocnym przepiciu. Nie mógł uchwycić w sobie żadnej myśli, niczego nie widział wyraźnie. Podoficer Stuhr, skulony przy periskopie, oddalał się od niego, ciasna żelazna komórka dolnej wieży rozstąpiła się, tworząc wielką, pustą halę, usadzoną nitami. W uszach dzwoniło uporczywie i na tem tle wykwiwały fantastyczne melodie. Wysłuchany w nie usypia.

...Koncert Beethovenowski w Kolonji prowadzi Nikitsch, śpiewa ukochana uwertura z „Korjolana“. W niej wszystko, co najszlachetniejsze, górne i potężne w genjuszu niemieckiego plemienia. Do głębi duszy przenika zachwyt, do granic bólu sięga rozkoszna ekstaza.

...Tuż jasnorudawa głowa kobieca odrzucona w upojeniu, w białej twarzy stygmat zapamiętania, przymknięte oczy... Przywiera do niej spojrzeniem i nie oderwie się już do końca. To widoma, doskonała, wiernie wcielona zjawą tej muzyki... Nie, z niej to przed stu laty powstała wizja mistrza, ona była jego muzą — natchnieniem. Pojawia się, gdy zabrzmiała pierwsza melodia Korjolana, a gdy przebrzmiał finał — znika. Jest niewiarogodna, nierealna, to mył kobiety, ach, na ziemi takich niema... Tętni, huczy gniewem, grozą wieje finał uwertury.

Cisza. Grzmot oklasków, ocknienie. Kobieta-bóstwo budzi się z ekstazy, otwiera oczy. Gdy w nie spojrzał, ciał go przez piersi jak brzytwą rozkoszny ból zachwycenia.

— Dwie minuty, pięć! Zaraz dojdzie... Jednego się tylko boję, panie komendancie. Gyroskopy z ostatniego transportu nie wszystkie pewne... Może zejść z linii...

Szum w uszach wzmagął się, waliło serce. Komendant czuł w sobie dolegliwy ucisk czegoś obcego. Oddech rwał się, pierś pracowała w podrzutach, z przerwami, jak obluźowany motor. Ale mijała senność, wracała potrosze władza myślenia. Co to było przed chwilą? Co mu się przyśniło?

...Korjolan... Ona... I zaraz potem wojna, ta sama, która trwa jeszcze i teraz. Niemożliwe!... Cóż

że niemożliwe — tak jest i już. Tarł sobie czoło, poziewał. — Zatrąłem się. Co oni mi sprzedali? Rito, już jestem ukarany za złamane słowo... Daruj mi i ty...

Nagle podoficer Stuhr wznosił do góry oba ramiona i nie odrywając się od periskopu, załomotał butami po stalowej płycie.

— Jest, panie komendancie, jest! Hurra! Gott strafe England!!

\* \* \*

Tajny radca profesor Wager opuszczał Berlin w zupełnym zgnębieniu. Nic nie załatwił. Latał od pięciu dni po wiadomych sobie urzędach wojskowych i cywilnych, po komisjach i biurach zupełnie nieoczekiwanych, które wojna spłodziła snąc tylko dlatego, żeby zamienić machinę rządową w nieprzenikniony labirynt i ze sprawy jasnej i prostej uczynić zagadnienie w rodzaju kwadratury koła. Poznał wszechmocnych dygnitarzy, którzy dawali mu swoje potężne poparcia, jako znakomitemu uczonemu, „Twórcy Zwycięstwa“, poznał i mnóstwo lejtenantów i jeszcze więcej feldweblów, cadet-aspirantów, fähnrichów, nawet kaprali i frajtrów, którzy przerzucali go między sobą, jak piłkę od biura do biura. Wysiadywał po poczekalniach, składał podania, zaskarżenia, telefonował. Jego upór rozbijał się o pancierz biurokracji wojskowej, która była zbyt złożoną i niejako niezbyt doskonałą, żeby ująć prostotę jego sprawy. Czasami stawiała mu na drodze przeszkodę nie do pokonania w postaci pierwszego lepszego ordynansa, tępego Pomorczyka bez ręki lub Bawara bez nogi, bohaterkich inwalidów, którzy poprostu nie dopuszczali go do drzwi, za którymi urzędował pan feldwebel, władny przepuścić go dalej i wyżej. Porozrzucał tedy gdzie mógł swoje podania, wylał swą gorycz w kilku pożegnalnych telefonach i pojechał do domu.

Nie miał czasu na obserwacje, ani na rozmowy o ogólnym stanie sprawy niemieckiej, ale z tego, co dostrzegał w przelocie między jedną konferencją a drugą, poznał, że w ciągu tych siedmiu miesięcy od jego ostatniego pobytu w stolicy dokonały się tu zatrważające przemiany. Ulice były zaśmiecone i ponure, oświetlenie skąpe, mnóstwo sklepów pozamykanych, ruch uliczny nikły i nadewszystko jakiś dziwny. Długo nie mógł odkryć, na czem to polegało, wreszcie któregoś dnia odgadł — była to zastraszająca przewaga kobiet... Mężczyźni byli na froncie, a półtora miliona Niemców spoczywało na polu chwały na cmentarzach, rozsianych po świecie. Jakże nie miało się to odbić na berlińskiej ulicy?

Z każdego okna każdego domu wyglądała żałoba, w ogromie miasta ziała pustka, przebijała się czyjaś nieobecność. Brak chleba i brak wszystkiego — do tego już przywykł każdy Niemiec, ale przyjeźdnego z dalekiej prowincji z nad Renu tu w stolicy przerażała skala tej nędzy. Gdy mu co krok przegradzały drogę nieskończone ogonki przed sklepami po tysiąc i więcej kobiet, wynędzniałych, obdartych, zsiniałych z zimna w czekaniu od północy na poranną sprzedaż chleba, mąki, kartofli, węgla, nafty, gdy widział wspaniałe halle targowe zamknięte na mur, gdy ze swemi kartkami po całych dniach chodził głodny, a nocami ział w pierwszorzędnym hotelu, gdzie w każdym numerze wisiały kartki, oznajmiające, że tej zimy centralne ogrzewanie nie będzie czynne...

(D. c. n.).

## MAYERLING

2)

Gorący głos, którym wypowiedział ostatnie słowa, świadczył aż nazbyt wyraźnie, jakie uczucia żywiła dla niewiernego małżonka.

— Od roku — powtórzył ojciec, kiwając głową — od roku. A w jakim wieku jest teraz twoja córka, moje dziecko?

Tego wieczoru po raz pierwszy nazwał ją tak.

— Skończy niebawem pięć lat.

— Jezuita namyślał się.

— Podzielam twój niepokój, moje dziecko — rzekł wkońcu — korona jest bez dziedzica... Lecz drogi, jakie obiera Bóg, są nieprzeniknione. W godzinie, którą On wybierze, wróci twój mąż. Bóg nie opuści tego mocarstwa, nad którym czuwa specjalnie. Mam tego dowody.

Urwał, a następnie ciągnął:

— Musisz zdobyć się na cierpliwość, moje dziecko. Potrafisz postępować, jak chrześcijańska małżonka. Nie okażesz niechęci i niezadowolenia — wtrącił to zdanie niby mimochodem — trzeba dużo wyrozumiałości. Przygotujesz w ten sposób drogi Najwyższemu. I należy się modlić. Tu będę ci mógł przyjść z pomocą... (jego głos stał się mocny i ufny na myśl, jaką pomoc jej przynosił), każę odprawić mszę — mówił skandując słowa — we wszystkich naszych kolegiach, na intencję, by starodawny dom Habsburgów zakwitł w nowym potomku...

Księżna nie wydawała się być tak wrażliwą na pomoc i ostoję ofiarowywaną jej, jak się tego spodziewał jezuita. Podziękowała jednak, a następnie dodała:

— Chciałam cię prosić, mój ojczy, ażebyś zobaczył się z księciem i porozmawiał z nim.

Ojciec spojrział przerażony.

— To trudne, moje dziecko, to trudne...

— Niema nic trudnego dla ciebie, mój ojczy — odrzekła księżna.

— Trzeba poprosić o audjencję — mówił jezuita — i określić cel tej audjencji... Nie mogę powiedzieć...

— Nie będziesz, ojczy, w kłopotcie, ażeby znaleźć powód, dla którego chcesz widzieć księcia. Wiesz równie dobrze, jak ja, jaką wagę mają te sprawy.

Ojciec namyślał się przez chwilę.

— Masz słuszność, moje dziecko — rzekł. — Zobaczę się z księciem.

Po kilku minutach księżna i jej dama dworu wsiadły do powozu i odjechały.

Na twarzy ojca Bernsdorfa, powracającego do gabinetu, malowała się troska.

„Już rok”, myślał, „cały rok! I dlaczego ukrywała to przedemną? Jakaż kobieta będzie mieć wpływ na następcę tronu? Słabszy jest, niż sobie wyobrażają! Ileż intryg zacieśniło sieci wokoło niego! Ile zgubnych wpływów! Czy miejsce zajęte już?”

Ojciec Bernsdorf wzruszył ramionami.

„Dowiem się...; w każdym razie, trzeba wiedzieć”.

\* \* \*

Tego samego dnia, w południe, dwie osoby rozmawiały z sobą w małym pokoiku, przylegającym do gabinetu redaktora *Neues Wiener Tageblatt*.

Jedną z nich był naczelny redaktor tego pisma, pan Szeps, człowiek średniego wzrostu, szczupły,

o żółtawej cerze, krótko przystrzyżonych włosach siwych już, pomimo młodego wieku. Jedyną mięsistą rzeczą w jego kościstej twarzy był nos haczykowaty i wybitnie semicki. Ten znany w Wiedniu dziennikarz kierował zręcznie i sprytnie — w czasach trudnych a nieprzychylnych — organem opozycji liberalnej, przeciwstawiającej się rządowi, konserwatywnemu i quasi autokratycznemu, hrabiego Taaffe.

Koledzy Szepsa, oraz ludzie dobrze poinformowani o sprawach rządowych, dziwili się niezmiernie z powodu pojawiających się od czasu do czasu artykułów w *Neues Wiener Tageblatt*, gdyż wiadomości zawarte o tych artykułach były dokładne i nieoczekiwane, a poruszały najbardziej palące zagadnienia polityki. Niemniej, tematy te były omawiane w sposób tak spokojny i niewinny, że biuro prasowe, to jest cenzura, nie miało możliwości skonfiskować pisma lub zamknąć wydawnictwa.

„Skąd do licha, czerpie Szeps swoje informacje?” zapytywano się wzajemnie. Wytrącało to niejednego z równowagi, lecz nikt nie potrafił dać zadowalniającej odpowiedzi. Toteż Szeps cieszył się uznaniem i popularnością, posiadał duże stosunki i wpływy, chociaż gazeta prosperowała nieszczerze i miała niewielki nakład.

Tego dnia naprzeciw redaktora siedział stary pan Blum, wydawca i właściciel *Neues Wiener Tageblatt*. Przed swoim współwyznawcą Szeps nie miał tajemnic. Omawiali właśnie kwestję skomplikowanej polityki wewnętrznej austriacko-węgierskiej. Dyskusję cechowała subtelność i zamiłowanie do dyalektyki, tak charakterystyczne dla ich rasy.

Zaczęli rozmawiać o cesarzu. Nie należało spodziewać się żadnej zmiany na lepsze za jego życia.

— Dziś już robi wrażenie starca — rzekł Szeps.

— Ma jednak pięćdziesiąt osiem lat i może panować jeszcze dziesięć lat, conajmniej — podjął Blum. — Jest nieinteligentny, nie obejmuje swoim ciasnym umysłem tych idei, do których się palimy, ale musimy przyznać, że jest zręczny. Idzie wytkniętą przez siebie drogą — która nie jest naszą drogą — i mimo piętrzących się przed nim przeszkód swojemi nędznymi środkami zyskuje to, co zamierza uzyskać.

— Gdy zniknie — zauważył Szeps — pozostawi wszystko w takim stanie, iż należy przewidywać najgorsze! Rewolucję, krew na ulicach Wiednia, ruchy separatystyczne, które zniszczą i obalą cesarstwo... I gdy pomyślę, że ma przy sobie tego zachwycającego syna! Mój Blumie, co za niebywały następca tronu! Nigdy Austria nie posiadała takiego następcy tronu i, ośmielę się twierdzić, nie zasługuje na niego... Mielibyśmy nareszcie nowoczesnego władcę, o światłym umyśle, szlachetnym charakterze, wzniosłych ideałach. Jakaż przyszłość dla Europy! Fryderyk III-ci na tronie Niemiec, Rudolf na tronie Austrii i Węgier! Uczyniłoby to przewrót na całym świecie. Nawet Rosja... Jak wielkie nadzieje, mój Blumie, — ale też...

Szeps zniżył głos:

— ...ile powodów do lęku. Tak wielka przyszłość, tyle nadziei pokładanych w jednym człowieku! Wszystko mnie niepokoi. Pożycie małżeńskie nie daje mu szczęścia. Ten konflikt nieustający z ko-

biętą ograniczoną, o przykrym charakterze! Powinien mieć w domu spokój, wielki spokój. Powinien mieć w żonie ostoję, serdeczną podporę. Zamiast tego sprzeczki, kłótnie, których odgłosy przebijają grube mury Hofburgu. A rezultat?

Szeps zniżył jeszcze bardziej głos:

— Arcyksiążę szuka zapomnienia w przelotnych miłostkach...

W tem miejscu serdeczny śmiech Bluma przerwał smętne wywody redaktora.

— Ależ, mój miły Szepsie, czem się tak bardzo przejmujesz? Czy to pierwszy następca tronu, który się trochę bawi? Burzliwa młodość Henryka V-ego, króla Anglii — czyż nie oddawał się stokroć większej rozpuszcce, niż arcyksiążę Rudolf — nie przeszkodziła mu stać się wielkim monarchą. Wielu innych szło już i iść będzie tym samym szlakiem. To niemal szkoła dla tych, którzy mają z czasem rządzić. Bądź spokojny o arcyksięcia. Dowodzi to jedynie, że nasz następca tronu jest żywotny, wrażliwy i ma temperament...

Szeps nie dał się przekonać.

— Może wyniknąć z tego jakiś skandal.

Blum roześmiał się jowialnie:

— Nikt nie potrafi lepiej stłumić skandalu od panów Hofburgu. Dla nich to nic nowego. Pozwól więc naszemu przyjacielowi bawić się dowoli, póki jest młody... *Gaudeamus igitur dum juvenes sumus...* — zanucił starzec.

Następnie dodał poważniejszym już tonem.

— A ponieważ dane nam jest zasięgać o nim jaknajlepsze informacje, starajmy się być blisko niego, ażeby nikt szkodliwy nie wślizgnął się do jego otoczenia. Dopóki wszystko ogranicza się do kolacyjek z ładnymi dziewczętami, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Gdyby jakaś sprytna kobieta wzięła nad nim górę i zdobyła wpływ..., wtedy rzecz by się miała inaczej... Wtedy trzeba wszystko rozważyć... Nie zwierzał ci się ze swoich osobistych uczuć?

— Nigdy, i nie byłoby mi to na rękę. Sprawy osobiste — to śliski temat. Obawiam się, że nie wybrnąłbym...

— A jednak, jeżeli nadarzy się jakaś sposobność, postaraj się wybadać go. Kiedy zobaczysz się z nim?

— Jedzie jutro do Budapesztu. Naznaczy mi spotkanie zaraz po powrocie... Ach te wizyty w Hofburgu, z jaką radością udaję się tam, ale też z jakim lękiem!... Wyobraź sobie ten gwałt, gdyby mnie poznano. Lecz arcyksiążę jest zręczny i za każdym następnym spotkaniem podwajam ostrożność. Na przyszyły raz włożę czarne okulary.

## CZĘŚĆ DRUGA

### H O F B U R G

Dlaczego widok pałacu królewskiego robi przeważnie tak smutne wrażenie? Wynika to z monotonnego i stereotypowego wyglądu fasad, które nie pozwalają odgadnąć życia, toczącego się za niemi? A może podobne do siebie, we wszystkich pałacach, — okna noszące miano szlacheckich — może ta jednostajność pozbawiona fantazji, polotu i wszelkiej indywidualności, nadaje im ten przygnębiający charakter? Trudno odpowiedzieć.

Hofburg, w którym wychował się arcyksiążę Rudolf i gdzie mieszkał obecnie, był niewątpliwie naj-

smutniejszym z wszystkich pałaców królewskich w Europie. Z apartamentów rozciągał się widok na większe lub mniejsze dziedzińce, jednako ponure, pozbawione drzew, zieleni, kwiatów. Nie przenika tam najłżejszy powiew wiatru, nie zatrzymują się tam ptaki, a że żadne okno nigdy się tam nie otwiera, by rzucić garść okruchów, nawet bezczelne wróble nie ożywiają swoim szczebiotem wysokich murów Hofburgu.

Życie, które tam wiodli dostojni mieszkańcy, nie było stworzone, by je rozweselić lub upiększyć. Cesarz i cesarzowa zajmowali dwa skrzydła. Z tych apartamentów widać było dziedzińce, zwany Franzens Platz. Do apartamentów cesarza wchodziło się przez odrzwia pod sklepieniem, prowadzącym na Michaeler Platz. Składały się z szeregu salonów, jednakowo przyozdobionych białymi i złotymi boazerjami, w stylu rokoka. Ciężkie meble były bogato złoczone. W rogu każdego pokoju stał duży piec fajansowy, również biały. Zimą panowała tu temperatura niezbyt gorąca, ale równa. Dalej znajdował się salon, przeznaczony dla adjutantów, dwa dla wysoko postawionych osobistości, przyjmowanych łaskawie na audjencjach. Gabinet prywatny cesarza, o dwóch oknach i dwóch biurkach, z których jedno było wysokie a drugie normalnej wielkości. Dalej mieściła się sypialnia cesarza — z prostym wązkiem, mosiężnym łóżkiem — jeszcze jeden salon i kończyło się skrzydło z oknami od strony południowej.

Kąt prosty rozpoczynał apartamenty cesarzowej, znajdujące się na innym poziomie. Cztery stopnie łączyły je z mieszkaniem cesarza. Z sypialni wchodziło się do sali przyjęć, następnie do salonu dam dworu i jadalni. Wszystko to było urządzone z lepszym smakiem i większym wdziękiem, niż u cesarza, ale komnaty posiadały tak wielkie rozmiary i były tak olbrzymie, że mimo mnóstwa kwiatów i roślin, nie udało się uczynić tych pokoi miłymi i przytulnymi. Po drugiej stronie skrzydła ciągnęły się apartamenty, przeznaczone na wielkie przyjęcia, dalej — apartamenty arcyksiążąt i gości cesarza.

Cesarz miał obecnie pięćdziesiąt osiem lat. Życie wypełnione nieustającą pracą uczyniło go przedwcześnie starcem. Był siwy i łysy. Twarz miał pororaną zmarszczkami i zgrubiał mu nos. Poruszał się jednak lekko i ciało nie straciło dawnej sprężystości. Powoli zmienił się w typ prawdziwego biurokraty. Posiadał w wysokim stopniu poszanowanie codziennych obowiązków i nikomu nie powierzał spraw — które — jego zdaniem — sam musiał wypełnić. To też udawał się wcześniej na spoczynek i już o świcie studjował pilnie przeróżne akty. Wiedeńczycy, włączający się po Francenz Platzu, widywali o piątej nad ranem światło w oknach apartamentów cesarza.

O tej porze, na biurku Franciszka Józefa stała lampa i adjutant pełniący służbę — może właśnie powrócił z balu i nie położył się jeszcze — stał z pochyloną głową i słuchał rozkazów Jego Cesarskiej Mości.

Tak było zimą. Latem, które przeważnie Franciszek Józef spędzał w Schönbrunn, praca cesarza rozpoczynała się przed czwartą nad ranem. Studjował z całą dokładnością i pedanterją dokumenty, które mu przynosili to adjutanci, to inni dworscy dygnitarze; czytał uważnie każde zdanie i kładł powoli swój podpis pod każdym z aktów.

Pracował przeważnie stojąc przy swoim biurku obok okna.

(D. c. n.)